

TEATR

Andrzej Seweryn gra Krappa w „Ostatniej taśmie” Becketta inaczej niż jego wielcy poprzednicy Tadeusz Łomnicki i Zbigniew Zapasiewicz.

**Delikatną kreską, z błazeńską samoświadomością.** Czas zerwać z patrzeniem na niego przez utrwalony od lat stereotyp

Jacek Wakar, Polskie Radio

**T**o jest szczególny wieczór w Teatrze Polskim w Warszawie. Wiadomo, że „Krappa i dwie inne jednoaktówki” wystawiono tam w prezencie na 70. urodziny Andrzeja Seweryna, on sam podkreślał jednak mocno inny kontekst. W dniu pierwszego spektaklu – 13 kwietnia 2016 r. – świat obchodził 110. rocznicę urodzin Samuela Becketta. Nowy Krapp dodawał jeszcze, że mitem jest utarty pogląd, jakoby dramatyczne partytury autora „Czekając na Godota” z rozpisanymi na sekundy pauzami i wyciemnieniami w jakikolwiek sposób odbierały aktorowi wolność, ograniczały narzuconą z góry formą. Nawet gdy reżyseruje Antoni Libera, jedyny taki w naszym kraju, a może i poza nim strażnik pieczęci mistrza.

Tak było, kiedy Krappa grał Łomnicki. Był w narzuconym przez Becketta rygorze, a jednocześnie go unieważniał,

własnym szaleństwem w roli rozsadzał szaleństwo świata. Gdy Winnie w „Szczęśliwych dniach” grała Maja Komorowska, zdarzał się cud. Zakopana po piersi, a potem po szyję w piasku kobieta ciągle radośnie witała nowy dzień, z ufnością oczekiwała dzwonka na sen. Jakoś tak się rozpychała w swojej Winnie, jednocześnie pozostając wierną zapisowi Becketta, że wrywała się ku dobru, dawała wierzyć w jasne zakończenie. Nie myślę, aby te wielkie role jakkolwiek kłóciły się z zamierzeniem irlandzkiego pisarza. Przeciwnie, stało się tak, że artyści wspomagani przez Antoniego Liberego wzbogacili go swoim poglądem na świat.

Coś podobnego dzieje się w seansie Libery i Seweryna. Kilka lat temu spotkali się przy pracy nad „Końcówką”, aktor zaczynał wówczas swoją dykcję w Polskim. Stworzył przejmującą postać Hamma, unieruchomionego w fotelu tyrańca, który swoją władzę poniewiera otoczeniem. Były w tej roli siła, ale i chęć spojrzenia na siebie z boku. I absolutne podporządkowanie Beckettowi, w partii kalibru najcięższego. Obecny wieczór być może jakoś nawiązuje do tamtego sprzed lat, ale tym razem mam poczucie, że patrzę na innego aktora. Seweryn niejednokrotnie mnie zaskakiwał, zarówno jako aktor, jak i w roli szefa sceny przy Karasia. Z pozo-

# Seweryn albo nakłuwanie siebie

A photograph of a desk with a lamp and a hand. The lamp is a classic desk lamp with a brass base and a glass globe. The desk is made of dark wood. A hand is visible on the right side of the frame, resting on the desk. The background is dark, and the lighting is focused on the desk and lamp.

ru idzie szlakiem wielkich bohaterów literackich, buduje swoimi wcieleniami własną wersję kanonu teatralnej klasyki. W Polskim zaczynał od Hamma, by niedługo potem zagrać Arnolfa w „Szkole żon” Moliera w inscenizacji Jacques’a Lassalle’a. Wykorzystywał w tym spektaklu swoje doświadczenie z Comédie-Française oraz pamięć poprzednich Molierowskich wcieleń – Alcesta z „Mizantropa” oraz Don Juana. Łączył gorycz z poczuciem bezkarności za swoje występki, ale na koniec doświadczał samoświadomości, co dla Arnolfa było największym przekleństwem. U Lassalle’a zagrał też Leara, odrzucając koturn, ale nie porzucając swojego rodzaju dostojeństwa Szekspirowskiego bohatera. Przyznam, że miałem z tym przedstawieniem kłopot, może dlatego, że spodziewałem się po Sewerynie tour de force, a on tym razem trochę się wycofał. Ukrył za postacią, samego siebie ograniczył. Dziś chętnie wróciłbym do tego „Króla Leara”. Choćby po to, aby sprawdzić, czy już w tej roli aktor nie zdrwił sobie także z moich oczekiwań, pamiętając oczywistą oczywistość: że lepiej zagrać mniej niż za dużo.

Tak czy inaczej, wolałem jego Prospera z „Burzy” Dana Jemmetta – zapitego, upodlonego kloszarda,



## Andrzej Seweryn zapewne mógł pozostać w Paryżu, ale podkreśla, że tylko w Polsce czuje się naprawdę u siebie



który zatracił swoją czarodziejską moc i teraz z trudem ją odbudowuje. Spektakl brytyjskiego reżysera wzbudził kontrowersje, wielu odrzuciło tak mocną interpretację dramatu Szekspira. A jednak choćby tym widowiskiem Seweryn dyrektor po raz kolejny pokazał, jak nieuprawnione są opinie mówiące, że Polski pod jego kierunkiem to zmurszałe muzeum, świątynia przeszłej scenicznej konwencji, lekcja jednego teatralnego języka. Przecież reżyserował u niego Janusz Wiśniewski („Quo vadis”), a obok Ivan Alexandre przedstawił niemalże rekonstrukcję „Cyda” Corneille’a w wersji Morsztyna. Zdarzały się też pozycje nieudane albo wręcz poronione. W serii scen z „Wesela” sam Seweryn zanadto dobrze bawił się połączonymi rolami Gospodarza i Wernyhory, o niedawnym „Dożywociu” Filipa Bajona nie będę przypominał. Słowem, warszawski Polski to teatr jak teatr – bywają w nim rzeczy znakomite, bywają i klapy. Nic bardziej naturalnego pod słońcem.

Dla Andrzeja Seweryna praca w Polskim to dopełnienie i ukoronowanie zawodowego życia. Zapewne mógł pozostać w Paryżu, ale podkreśla, że tylko tutaj czuje się naprawdę u siebie, poza tym w Polsce – niezależnie od okoliczności – może więcej. Naznaczył to miejsce własnym spojrzeniem na jego profil, twierdząc, że zna oczekiwania publiczności. W dodatku z poruszaniem się w obrębie szeroko pojmowanej tradycji i klasyki jest tak jak z szukaniem sobie miejsca w rygorze Becketta – nie mowy o kępowaniu swobody ruchów. Choćby czasami zdaje się jednak narzuconym samemu sobie ograniczeniem.

Andrzej Seweryn mówi, że z nikim się nie ściga, nikomu nie próbuje dorównywać. Kiedyś być może przyjąłbym jego słowa z rezerwą. Dziś przyjmuję je bez wahania. Wystarczy spojrzeć, jak gra Krappa. Buduje bohaterowi „Ostatniej taśmy” biografię, uwiarygodnia go psychologicznie, idzie w lekką błazenadę, ale ucieka od pokusy popisu. Bywa jak smutny klaun, a jednak jego stara twarz rozświetla cień uśmiechu. Można ukazać Krappa jako monstrum, upajając się skalą tej niezwyklej roli. Seweryn poszedł całkiem inną drogą. Swojego Krappa „uczłowieczył”, dając mu własny uśmiech i współczucie. Wcześniej zaś z Antonim Ostrouchem zabawił się nieco Beckettem we „Fragmencie dramatycznym II”, na koniec w „Impromptu »Ohio«”, czytając z wielkiej księgi, stał się na chwilę samym Duchem Opowieści.

Zagrał gościnnie w serialu „Artyści” Moniki Strzępki, świetnie się bawi występami w „Pożarze w burdelu”, nawiązał współpracę z Klubem Komedii. To właśnie wieczór beckettowski uświadomił mi, że w Sewerynie jest dziś lekkość, z którą przyjmuje zadania, jakich może nie wzięłyby kilka lat temu. Pozostał tym samym artystą, ale posiadał ważną zdolność. Gotowość do nakłuwania samego siebie, drwiny z własnego wizerunku, a to otwiera przed nim całkiem nowe horyzonty.